Nr. 15. We Lwowie dnia 9. kwietnia 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysloucha.

Z pola naszej etnografji.

I.

Mamy obecnie w Polsce dwa ogniska, koło których skupiają się wszystkie niemal nasze siły naukowe, pracujące w dziedzinie etnografji. Jednem z nich jest Akademja Umiejętności w Krakowie, drugiem zaś kwartalnik »Wisła« w Warszawie. Akademja Umiejętności gromadzi w swych wydawnictwach surowy materjał do etnografji ludów, w skład dawnej Rzeczypospolitej wchodzących, a »Zbiór wiadomości do antropologji krajowej«, wydawany staraniem komisji antropologicznej, zawiera w XVII dotychczas wydanych tomach ogromną ilość przyczynków do etnografji i antropologji polaków, rusinów-ukraińców, białorusinów, litwinów, łotyszów i żydów. Co do »Wisły«, to ma ona całkiem inny charakter, aniżeli „Zbiór wiadomości". „Wisła" nie poprzestaje już na samem gromadzeniu materjałów etnograficznych, ale wkracza i na pole folklorystyki. Zasługą obecnego redaktora »Wisły« jest to, że zapoczątkował on u nas ruch folklorystyczny, pobudził do działalności mnóstwo sił młodych i swymi cennymi pracami wskazał drogę, po jakiej ma kroczyć każden, kto w rzeczywiście naukowy sposób chce się oddawać studjom ludoznawczym. Wprowadzając zaś do „Wisły" rubrykę „poszukiwań" dr. Jan Karłowicz potrafił zainteresować poszczególnemi kwestjami etnograficznemi szeroki ogół czytelników, którzy odpowiadając na zadawane przez redakcję pytania, niepomału przyczyniają się do uzupełnienia skąpych niekiedy wiadomości z pewnych działów etnografji naszej. W ten sposób nagromadzono w »Wiśle« kilka tysięcy formułek, używanych przy grach dziecinnych (mętowanie), w ten sposób zebrano mnóstwo przyczynków do opisu chat polskich, zwyczajów prawnych itd. Obecnie najwięcej napływa do redakcji „Wisły" przyczynków do lecznictwa ludowego.

Medycyna ludowa jest to obszar bardzo mało do ostatnich czasów wyzyskiwany przez etnografów naszych. Zaś pomiędzy etnografami którzy pracowali na tem polu, najmniej niestety było lekarzy fachowych; to też materjały zebrane przez ludzi, bardzo mało na medycynie się znających, przeważnie były pozbawione wszelkiej wartości naukowej, Tylko od niedawna lecznictwem ludowem zainteresowali się lekarze. »Zdrowie« warszawskie ogłosiło kwestjonarjusz, zawierający wskazówki, niezbędne dla badaczy medycyny ludowej; dr. Marjan Udziela wydał w »Bibljotece Wisły« monografję »Medycyna i przesądy lecznicze ludu polskiego«; do »Wisły« również przeważnie lekarze nadsyłają cenne wskazówki, odnoszące się do pojęć lekarskich i środków leczniczych.

Obecnie mamy przed sobą dzieło, wydane nakładem Akademji Umiejętności, odnoszące się wprawdzie nie do polskiej medycyny ludowej, tem niemniej jednak stanowiące niepowszednie zjawisko w naszej literaturze etnograficznej. Mówimy o obszernej monografji dra Juljana Talki-Hryncewicza „Zarysy lecznictwa ludowego na Rusi południowej" *).

Dr. Talko-Hryncewicz zabrał się do zgromadzenia środków, przesądów i wierzeń medycznych u ludu małoruskiego z całego obszaru Rusi-Ukrainy. Wyzyskał on wszystko, co było znane dotąd ze źródeł już drukowanych, oprócz tego zaś zebrał ogromną ilość materjałów bądź sam, bądź też za pośrednictwem kilkudziesięciu osób, w różnych miejscowościach Rusi południowej zamieszkałych.

Wszelkie przesądy i wierzenia ludowe w zakresie medycyny nie są owocem ani polskiego, ani ruskiego narodu i nie stanowią wyłącznej własności tych narodów, lecz są różnymi czasy ze wszystkich stron świata nabiegłymi przybyszami. Mnóstwo środków leczniczych, w całej Słowiańszczyźnie obecnie używanych, pochodzi

*) Kraków 1893 str. 461 + LVI. w. 8-ki.

z Niemiec. Wpływ cywilizacji bizantyjskiej na wschodnich kresach Rusi panuje wszechwładnie, wyciska swe piętno na przesądach i wierzeniach ludowych. W Chełmskiem zaś lub na Rusi halickiej w wierzeniach ludu widzimy wpływ obopólny dwóch ścierających się ze sobą cywilizacji kościelnych: wschodniej i zachodniej. Nie mało też wierzeń tak wschodnich jak i zachodnich rozniešli po Rusi osiedlający się tam Żydzi i Niemcy, tudzież koczujący Cyganie. Jeszcze większy wpływ pod tym względem mają obecnie liczne kolonje niemieckie i czeskie, gęsto rozsiane na Wołyniu. Dzisiejsza służba wojskowa również przyczynia się znacznie do roznoszenia wierzeń i przesądów leczniczych. Tą drogą nie mała ilość najrozmaitszych wierzeń polskich, a jeszcze więcej wielkorosyjskich i kaukazkich rozpowszechniło się po Rusi.

Im dalej na wschód, tem skarbnica medycyny ludowej jest obfitszą w przesądy i zabobony, z którymi ściśle się łączą zaklęcia i zamawiania. Przeciwnie zaś, przy posuwaniu się na zachód, skarbnica ta coraz to bardziej pod tym względem się wyczerpuje i, zatracając pomału swój czysto ludowy charakter, staje się upstrzoną mnóstwem naleciałości bądź starej, bądź teraźniejszej medycyny.

Najwięcej udało się zgromadzić materjałów dr. Hryncewiczowi, odnoszących się do farmakologji, mniej daleko do patologji i etjologji chorób, ponieważ lud daleko więcej się zajmuje samymi lekami choroby, aniżeli jej pochodzeniem i genezą.

Lud ruski przedstawia sobie każdą z chorób, a szczególnie zakaźnych, w grubej, materjalnej formie. Zimnica np. ma być młodą, piękną dziewczyną, która ma moc przeistaczania się w powietrze trujące. Cholera ma mieć postać psa białego. Dżumę lud przedstawia sobie w postaci kobiety lub zatyczki od koła u wozu. Choroba wogóle jest według Rusinów dziełem złego ducha, nigdzie zaś nie spotykamy się z pojęciem, jakoby Bóg nasyłał chorobę. W tym względzie poglądy ludu ruskiego (jak i wszystkich Słowian) różnią się wielce od kaukazkich.

Stosownie do wyobrażeń ludu o roli, jaką odgrywają dobre i złe siły w duchowem życiu ludzkości, jedni ludzie przy pomocy tych ostatnich mają moc być wszechwiedzącymi, przewidują przyszłość, szkodzą innym we wszelkich czynnościach, nasyłają choroby, a inni znowu ratują ludzkość przy pomocy dobrych duchów, wracając zdrowie i życie. Do rzędu pierwszych należą czarodzieje i wróżbici, a do rzędu drugich znachory i baby.

»Czarodziej«, jestto człowiek urodzony pod pewną planetą; jeżeli dobrą, to czyni ludziom dobrze i odwrotnie. Do czarodzieja udaje się najczęściej młodzież, szukająca pomocy w sprawach miłośnych.

»Wróżbici« przepowiadają przyszłość z kart, z rąk, bobu, główną jednak ich specjalnością jest leczenie chorób. W niektórych miejscowościach Rusi, uważani bywają wróżbici za ludzi, niemających stosunków ze złym duchem i wskutek tego za nieszkodliwych, w innych zowią ich oszustami, którzy dla wygód materjalnych sprowadzają choroby, a potem je leczą.

Najbardziej wszakże rozpowszechnioną klasą leczących są t. z. »znachorzy i znachorki«. Człowiek, który urodził się w poniedziałek, jeżeli zostanie również w poniedziałek odłączony od piersi matczynej, dorósłszy zostaje znachorem. Znachorów ludowych w przeważnej części nie można podejrzywać o złą wolę; leczą oni, mając głębokie przekonanie, że przynoszą ulgę cierpiącym.

Co do środków leczniczych, używanych przez lud na Rusi, to rozpadają się one na dwa odłamy leków: »właściwych i mistycznych«. Leki mistyczne można podzielić na: środki sympatyczne i zamawiania, zażegnywania za pomocą formuł tajemniczych.

Nie sposób tu wchodzić w szczegóły, w które obfituje praca dra Hryncewicza, gdyż są one przedewszystkiem ciekawe dla lekarzy fachowych. Nadmienimy tylko, że składa się ona z pięciu części: 1) Położnictwo i ginekologja. 2) Choroby dzieci. 3) Choroby wieku dojrzałego. 4) Hygjena. 5) Śmierć.

Na czele każdej z tych części znajduje się ogólny pogląd na zawarte w niej wiadomości. Na końcu dzieła dołączono spis nazw ludowych ruskich roślin leczniczych, zwierząt, nazw chorób i niektórych terminów, używanych w medycynie ludowej.

Wydaniem tak kapitalnego dzieła Akademja Umiejętności nie tylko wielce się przysłużyła nauce wogóle, ale ułatwiła pracę uczonym, którzyby chcieli w tak samo wyczerpujący i sumienny sposób opracować odnośny materjał **polski**, gdyż w monografji dr. Hryncewicza przedmiot jego pracy jest traktowany w sposób porównawczy.

L. Wasilewski.

KARTKI NAUKOWE.

Nowy sposób leczenia suchot. — Bakterje jako środek zwiększający płodność ziemi. — Krwawe plamy na chlebie. — Geografja porównawcza w czasie i przestrzeni, wykłady Elizeusza Reclusa.

Gdy chodzi o zwalczenie tak rozpowszechnionej choroby, jak suchoty płuc, każda próba, podjęta w tym kierunku, zasługuje na uwagę. Nowy sposób leczenia suchot, praktykowany od niedawnego czasu w Paryżu, jest wielce orygi-

nalny. Lekarze w ogóle zgadzają się, że leczenie suchotników przedewszystkiem polegać powinno na przestrzeganiu hygjeny: ciągłe przebywanie chorych na świeżem powietrzu, obfite i dobre odżywianie i t. p. środki, są głównie zalecane. Po za tem, jako środek kuracyjny, najskuteczniej gojący płuca, używa się kreozot lub inne pokrewne z nim substancje. Na nieszczęście żołądek nie może znosić dużych dawek kreozotu, niezbędnych do uleczenia chorego. A wstrzykiwania podskórne bywają bolesne, zwłaszcza gdy są często powtarzane; zresztą nie wszyscy chorzy mogą znosić wstrzykiwania. Oczywistem jest, iż niemniej skutecznie byłoby bezpośrednio oblewać chore tkanki uzdrawiającym płynem, to jest wprowadzać kreozot do samych płuc. Imano się już wprawdzie rozmaitych sposobów wprowadzania lekarstw do płuc, nie próbowano jednak dotąd najprostszego sposobu, polegającego na bezpośredniem wlewaniu płynów przez krtań i tchawicę. Jestto właśnie nowy leczniczy sposób, przedsięwzięty od niedawna w szpitalach paryskich.

Na razie dziwnem wydaje się, aby płyn wprowadzać można było do narządu oddechowego; wszak wiemy, że ludzie tonący, duszą się, gdy woda wejdzie do płuc, a także doświadczaliśmy już nieraz sami przykrego uczucia bólu, kaszlu i t. p. gdy kropelka płynu wejdzie do krtani. A jednak znakomity przyrodnik Klaudjusz Bernard oddawna już dowiódł za pomocą doświadczeń, że płuca nie tylko łatwo mogą przyjąć znaczne dawki płynu, ale nadto z łatwością pozbywają się owych płynów.

Wrażliwość zaś krtani na dotyk obcego ciała objawia się tylko przy pierwszym pierścieniu chrząstkowym, a dalej krtań jest nieczułą i dlatego bez obawy można wlać do niej za pomocą szprycki 20, 30 do 40 centymetrów sześciennych oliwy, zmieszanej z kreozotem i mentolem. Płyny te dostaną się do wszystkich gałęzi oskrzelowych, a chory nie jest narażony na żadną przykrość, odczuwa on tylko ciepło, rozchodzące się po płucach. Dodajmy nawiasem, że sposób ten już od kilku lat był zastosowany przez lekarzy francuskich do leczenia niektórych cierpień tchawicy. Tak więc płyn znajduje się w bezpośredniem zetknięciu z choremi tkankami. Całkowita powierzchnia oskrzeli wynosi przeszło 80 metrów kwadratowych, dlatego też trzeba znacznej ilości płynu, aby wywrzeć wpływ na tak rozległą powierzchnię.

Nie wiadomo jeszcze dokładnie jak kreozot i oliwa oddziaływają na poranione płuca, poddawano jednak tej metodzie leczenia wielu chorych i zauważano wypadki zupełnego uleczenia, częste bardzo polepszenia stanu zdrowia, a wreszcie zdarzały się i nie udane próby, jak ze wszystkimi środkami. W niektórych razach po kilku tygodniach kuracji chorzy zyskiwali na wadze 2 do 6 kilogramów. Są to więc rezultaty wielce obiecujące na przyszłość.

* * *

Szczepienie rozmaitych bakterji ludziom w celu uchronienia ich od chorób stanęło na porządku dziennym, ale rozsiewanie bakterji po glebie dla zwiększenia jej wydajności jest doświadczeniem zupełnie świeżem; odnosi się ono tylko do roślin strączkowych, które tem się wyróżniają od innych, że mogą bezpośrednio pochłaniać z powietrza azot i wprowadzać go do swych tkanek. Takie wyjątkowe stanowisko strączkowe rośliny zawdzięczają mikrobom, które żyją na ich korzeniach i tworzą drobne guzki. Owe mikroby odgrywają tak ważne znaczenie w życiu roślin strączkowych, że gdy mikrobów zabraknie na ziemi, rośliny rozwijać się nie mogą, a jeżeli mikroby znajdują się w roli w wielkiej obfitości, to rośliny dają nierównie lepsze plony. Bardzo łatwo tedy zwiększyć wydajność roli, jeżeli rozsypiemy po niej taką ziemię, na której rośliny strączkowe poprzednio rosły. Jestto nie co innego, jak szczepienie na roli dobroczynnych mikrobów.

Mamy do zanotowania jeszcze jedno ciekawe spostrzeżenie, tyczące się drobnoustrojów. W kilku miejscowościach północnej Ameryki zauważano w zeszłym roku podczas wielkich upałów letnich, że na świeżo krajanym chlebie pojawiały się czerwone plamy, zupełnie podobne do kropli krwi. Chleb się krwawił. Takie same plamy powstawały na gotowanym ryżu i kartoflach. Zjawisko to nieznane jeszcze było w Stanach Zjednoczonych i, pomimo całej trzeźwości umysłu jankiesów, wywarło na ludność głębokie wrażenie; widziano w tem zjawisku widoczny gniew boski. Ale przyrodnicy przyjrzeli się za pomocą mikroskopów owym krwawym plamom i łatwo rozpoznali, że jestto drobniuchny grzybek, odkryty i nazwany przez Herrenberga »micrococcus prodigiosus. Rozwija się on z nadzwyczajną szybkością na mączce i zabarwia ją na czerwono. Prawdopodobnie liczne zjawiska, które tyle razy wstrząsały wyobraźnią ludzką, zawdzięczały swe pochodzenie podobnemu grzybkowi. Od czasu do czasu widywano np. krwawiące się hostje, w czem przestraszona ludność widziała nieomylną zapowiedź wielkich nieszczęść. Mikroskopijne grzybki czerwone miały już niepoślednie znaczenie w historji.

* * *

Od kilku tygodni Bruksella w murach swych posiada znakomitość, przyjazd której sprawił niemało hałasu. Słynny geograf Elizeusz Reclus poraz pierwszy w życiu objął katedrę uniwersytecką i rozpoczął w Brukselli wykłady geografji porównawczej w c z a s i e i p r z e s t r z e n i. Wy-

kłady te mają zawierać syntezę olbrzymiego dzieła, które Reclus wydawał od lat dwudziestu i w bieżącym roku doprowadził do końca swą Geografję Powszechną. Komu znane są dzieła Reclusa, pełne ścisłości naukowej, a zarazem nacechowane prostotą i wzniosłą poezją, ten z łatwością zda sobie sprawę, jak ciekawe są wykłady takiego mistrza geografji.

Biedna geografja! Jak ona zwykle po macoszemu traktowaną bywa w naszych szkołach! Zamiast pięknej nauki, która obejmować powinna historję naszej ziemi, połączoną z historją ludzkości, podajemy zwykle naszej młodzieży karykaturę geografji, złożoną z suchych liczb, nazw i faktów, nie powiązanych z sobą logicznie, a przecież rozwój ludzkości i jej cywilizacja znajdują się w ścisłej zależności od kształtów naszej ziemi, a z drugiej strony powierzchnia naszej planety przekształca się wciąż pod wpływem usiłowań człowieka.

We wstępnej lekcji Reclus zwrócił uwagę słuchaczy na przyczyny, pod wpływem których powstały rozmaite nazwy geograficzne. Imiona miejscowości, rozproszonych po świecie, mają swą historję; cztery tysiące języków, którymi mówią mieszkańcy ziemi, stworzyły miljony nazw często nader poetycznych i trafnie nadanych stosownie do tego, co w danej miejscowości najwięcej przemawiało do wyobraźni naszych przodków. Uwielbienie i postrach, zjawiska nie zrozumiałe, czerwieniejące szczyty górskie, cuchnące jeziora — wszystko to zapisane jest w nazwach geograficznych, wszystko posiada swoje legendy, tchnące poezją, raj i piekło powstały tą drogą.

Mnóstwo jest nazw geograficznych, świadczących o zamiłowaniu ludzi do rodzinnego zakątka ziemi. Każdy naród wierzył, że posiada kraj, którego ziemia jest szlachetniejszą od reszty świata. Chiny nazywają się malowniczo »Krainą kwiatów«. Dla Hindusa piękny półwysep gangesowy jest »Kwiatem lotosu«. Wszędzie znajdują się miasta, poczytywane przez mieszkańców za środek ziemi, np. Benares, Rzym, Paryż. We wszystkich krajach na świecie istnieją miejscowości, któremi szczycą się mieszkańcy, jak gdyby piękność krainy była ich własnem dziełem. Nawet mieszkańcy krajów podbiegunowych wychwalają zwykle jakąś dolinę, mniej wystawioną na srożenie się klimatu.

Ale najwięcej znane są miejscowości, które były rajem dla rozmaitych ludów. Z nazwą raj związane jest pojęcie o piękności, a zarazem żal po stracie uroczego kraju, który mieszkańcy opuścić musieli. Dlatego właśnie owe miejscowości stały się rajem, iż zostały utracone.

Wszystkie narody mają lub miały swój raj, zwykle raj utracony i najczęściej znajdował się on na szczycie wysokich gór, jak Himalaja. Wszędzie odnajdujemy podania o złotym wieku, szczęśliwej Arkadji, cudownym Eldorado, wspaniałych ogrodach, gdzie ludzie żyli szczęśliwi, bez cierpień i pracy. Z czasem jednak wiara w raj osłabła. Obecnie ludzkość nie szuka już cudownych ogrodów, ale wciąż szuka jednak szczęścia dla siebie. Pojęcia się zmieniły, rozumiemy teraz dobrze, iż niema szczęścia i raju bez pracy. Powstaje tedy pytanie, mówi Reclus, czy za pomocą nauki nie dałoby się zamienić całej kuli ziemskiej na raj dla ludzkości, gdybyśmy wszyscy zgodnie wzięli się do tej pracy. Geografja i statystyka uczą nas, że ziemia mogłaby wyżywić o wiele znaczniejszą ludność, niż teraźniejsza; z drugiej strony mamy dowody, że reformy proponowane przez socjologów dla polepszenia losu ludzi, nie są bynajmniej utopią, że posiadają realne podstawy. Każda nauka powinna przyczynić się do zwiększenia sumy szczęścia, a przynajmniej do zmniejszenia cierpień ludzkości, do przekształcenia ziemi w Eden biblijny, jeżeli to możebne. Znakomity geograf zamierza odbyć wędrówkę ze swymi słuchaczami przez lądy i stulecia minione, mając nieustannie na widoku szczęście ludzkości.

Dr. M Stefanowska.

Wielebny John Creedy.

przez Grant-Allena.

I.

W przyszłą niedzielę, dnia 14. b. m. Wielebny John Creedy, B. A. z Kolegjum Magdaleny w Oxfordzie będzie miał kazanie w kościele Walton Magna na rzecz misji »Złotego wybrzeża«. Obwieszczenie to nie było bardzo przerażające, a jednak, choć na pozór tak proste, wstrząsnęło do głębi duszę Eteli Berry. Etela bowiem nauczyła się od ciotki Emilji uważać misje zagraniczne za jedyną rzecz, dla jakiej warto żyć, o jakiej warto myśleć, a wielebny John Creedy, B. A. miał osobistą historję misyjną, dosyć osobliwą nawet w tych czasach szczególnych zetknięć zupełnej dzikości i cywilizacji daleko posuniętej.

— Dziwnie pomyśleć, że to jest prawdziwy murzyn afrykański, jak powiada wikarjusz, wzięty w dzieciństwie z okrętu handlarza niewolników na »Złotem wybrzeżu« i przywieziony do Anglji na wychowanie — rzekła Etela do ciotki, gdy czytały tabliczkę z powyższem ogłoszeniem, na gmachu szkolnym. — Był w Oxfordzie i otrzymał stopień, a teraz udaje się do Afryki, żeby nawracać ziomków swoich. Wikary oczekuje go tu we środę.

— Mojem zdaniem — odezwał się stary stryj James, brat ciotki Emilji, były szyper — lepiejby zrobił, gdyby został w Anglji na zawsze. Ja często bywałem swego czasu na »Złotem wy-

brzeżu« po olej palmowy i tym podobne rzeczy i powziąłem to przekonanie, że murzyn jest wszędzie murzynem, ale w Anglji cokolwiek mniej, niż tam, w Afryce. Weź go do Anglji, a zrobisz zeń gentlemana — odeślij go do ojczystego kraju, a murzyn wyjdzie znowu na wierzch, chociażbyś wszystkich starań dokładała, żeby zapobiedz temu.

— Ach, Jamesie — wtrąciła Emilja — jak możesz w tak niechrześcijańskim duchu powstawać przeciw misjom, kiedy wiemy, że we wszystkich narodach na całej kuli ziemskiej jedna krew płynie.

— Jam zawsze wiódł życie chrześcijańskie, Emiljo — odparł stryj James — chociaż krążyłem także po znacznej przestrzeni wybrzeża, co rzeczywiście nie zgadza się z życiem chrześcijańskiem, ale mam przekonanie, że murzyn jest murzynem, cokolwiek z nim robić. »Etyopczyk nie może znieść skóry swojej« — jak mówi pismo święte, ani lampart swych centek, a murzyn pozostaje także murzynem do końca życia. Zapamiętaj moje słowa, Emiljo.

We środę, podług umowy, przybył do wikarjatu wielebny John Creedy, niecierpliwie oczekiwany od tygodnia przez całą wieś Walton Magna, ciekawą takiej osobliwości, jaką jest proboszcz, czarny jak węgiel. Nazajutrz w czwartek, równie osobliwy wypadek zdarzył się Eteli Berry. Oto odebrała rano bilecik z zaproszeniem na południe tegoż dnia do wikarjatu na lawn tennis. Mocno ją to zadziwiło; jakkolwiek bowiem wikarjusz odwiedzał dosyć często ciotkę Emilję i chętnie przyjmował jej pomoc przy urządzaniu zabaw szkolnych lub innych uroczystości wiejskich spokojniejszej natury, państwa Berry nie przypuszczał jednak do partji lawn tennis z powodu, że zajmowali niższe stanowisko od innych gości. Przyczyną zaproszenia Eteli w ten specjalny czwartek był pewien spisek pobożny pomiędzy wikarjuszem i sekretarzem ewangielicznego towarzystwa »Złotego Wybrzeża. Gdy ci dwaj znakomici adwokaci misji spotkali się przed dwoma tygodniami w Exeter Hall, sekretarz zwrócił uwagę wikarego, że jest to rzeczą pożądaną, by młody John Creedy zaślubił jaką angielkę przed wyjazdem. To go ustatkuje i będzie trzymało na wodzy na wybrzeżu — powiada — doda mu to także powagi w oczach krajowców. Wikarjusz odrzekł, że zna właśnie w swej parafji odpowiednią panienkę, która przez opatrznościowy zbieg okoliczności jest już bardzo zainteresowaną misjami zagranicznemi. Tak to ci dwaj zacni ludzie spiskowali w niewinności serc, żeby zaprzedać biedną Etelę w niewolę afrykańską i wikary zaprosił Johna Creedy do Walton Magna w tym celu, żeby ich zaznajomić ze sobą.

Owego popołudnia Etela włożyła na siebie ładną suknię satynkową i śliczny biały kapelusik, podpięty z boku dwiema naturalnemi różami dzikiemi i uradowana, dumna, poszła do wikarjatu. Wielebny John Creedy znajdował się tam nie w księżej sukni, lecz w flanelowym kostyumie stosownym do lawn tennisu. Miał tylko biały wolno zawiązany krawat pod wykładanym kołnierzykiem na znak nowonabytej godności duchownej. Był to dosyć przystojny mężczyzna, murzyn pełnej krwi, lecz z niezbyt szeroką twarzą i niezbyt szpetnymi rysami typu afrykańskiego. Gdy grał w piłkę, atletyczne, zwinne członki i prawdziwie piękna budowa łagodziły ogólne wrażenie jego pochodzenia z niższej rasy. Głos miał właściwy oxofordczykom — otwarty, dźwięczny, delikatny; wymowę niebardzo wadliwą. Gdy prowadził rozmowę z Etelą, — a żona wikaryusza starała się dać mu do tego jak najczęściej sposobność — to jej osnowa była tego rodzaju, jaką dziewczynka ta rzadko kiedy słyszała w Walton Magna. Opowiadał jej o Londynie i Oxfordzie, o regatach w Iffley i partjach krokieta w Lordzie, o ludziach i książkach, których nazwisk nie słyszała nigdy, — o jakimś panu Millu, jeśli się nie myli, i o panu Arystotelesie, — ale czuła niewyraźnie, że zajmuje wyższy szczebel, aniżeli ona, na skali intelektualnej. I przyjaciele, o których wzmiankował przypadkiem, — nie dla pochwalenia się świetnemi znajomościami, jak robi tylu innych, — byli to ludzie wyborowi: rzeczywisty, żyjący lord był z nim razem w kolegium; o młodym baronecie, którego włości leżały w sąsiedztwie, mówił poprostu: »Harrington z Christchurch« bez »Sir Artur« — na co nie poważyłby się nawet sam wikarjusz. Wiedziała, że jest uczony; otrzymał stopień drugiego rzędu w Oxfordzie, umiał ślicznie mówić o poezji i powieściach. Należy przyznać, że John Credy, pmimo czarnej twarzy, olśnił biedną Etelę, gdyż miał więcej nauki i ogłady, aniżeli ktokolwiek z jej znajomych.

Gdy skierowała rozmowę na Afrykę, młody proboszcz był niemniej wymowny i czarujący. —

— Żal mi opuścić Anglję z różnych względów, — rzekł — ale z radością będę pracował dla moich biednych braci.

Misje przejmowały go zapałem i stanowiły wspólny interes z Etelą. — Tak mu było pilno podnieść i ulepszyć położenie swych bliźnich — murzynów, że będąc tak wykształconym, chce żyć w dżingli afrykańskiej przez poświęcenie dla swoich pogańskich ziomków. Wróciła do domu z owej zabawy zupełnie owładnięta osobistością Johna Creedy. Ani na chwilę nie przyszło jej na myśl, że mogłaby się w nim zakochać — jakiś instynkt rasowy, niedający się opisać, stawiał zaporę nieprzepartą, — lecz młodzieniec ten budził w niej taki podziw i tak się nim zajęła, jak nigdy żadnym mężczyzną.

Co się tyczy Johna Creedy, to — naturalnie — był oczarowany Etelą. Popierwsze oczarowałaby go każda młoda angielka, któraby się tak bardzo zainteresowała nim i jego planami, bo, jak wszyscy murzyni, był mocno samolubnym i cieszyło go, że napotkał białą panią, która

zdaje się go traktować, jak istotę wyższą; powtóre Etela była istotnie uroczą, prostą angielską dzieweczką wiejską, miluchną w obejściu i ślicznie rumieniącą się, która mogła zawrócić głowę nawet mniej wrażliwemu człowiekowi, aniżeli ten młody murzyn. Tak więc bez względu na stan uczuć Eteli, John Creedy czuł, że jest szczerze zakochany — wszakże w głębi swej istoty był on edukowanym gentlemanem angielskim, z temi samemi uczuciami rycerskiemi dla ładnej i powabnej dziewczyny, jakie każdy gentleman powinien żywić w duszy.

W niedzielę rano ciotka Emilja i Etela udały się do kościoła parafjalnego, gdzie wielebny John Creedy wygłosił zapowiedziane kazanie. Było ono niemal pierwszem wystąpieniem, »pierwszą próbą« — jak mruczał stryj James, ale znawcy nazwaliby je niewątpliwie świetną oracją.

John Creedy był wolnym od nerwowości — murzyni nie wiedzą, co znaczy ten wyraz, — przekonywał gorąco, wymownie, zręcznie o potrzebie misji na Złotem wybrzeżu. Może niebyło nic naprawdę bardzo oryginalnego albo uderzającego w tem, co mówił, ale sposób mówienia był silny, wywierał wrażenie, Murzyni, jak dużo innych ras niższych, mają wielkie zdolności do krasomowstwa i John Creedy dał się poznać jako jeden z najznakomitszych oratorów na obradach związku oxfordzkiego. Gdy się rozwodził nad tem, jak dalece wielkie dzieło szerzenia ewangelji potrzebuje pracowników, pomocy, poparcia, i sympatji, ciotka Emilja i Etela zapomniały o jego czarnych rękach, wyciągniętych dłoniami do ludu, i były tylko wzruszone do głębi serc dramatycznością i entuzjazmem tego gestu błagalnego.

Ostateczny rezultat tego wszystkiego był taki, że John Creedy zabawił w Walton Magna nie tydzień, lecz dwa miesiące i przez cały ten czas widywał się bardzo często z Etelą. Przed końcem pierwszych dwu tygodni, przechadzając się z nią pewnego popołudnia nad rzeką, poważnie rozmawiał o swej przyszłej misji.

— Panno Berry, — rzekł, gdy usiedli, żeby wypocząć chwilę, na parapecie mostku, w pobliżu wierzb płaczących, — nie martwi mię to, że się udaję do Afryki, ale nie mogę znieść tej myśli, że się tam udam sam jeden. Będę miał stację wyłącznie dla siebie, nad rzeką Ancobra, gdzie, jak rok długi, nie zobaczę żywej duszy chrześcijańskiej. Chciałbym, żeby mi kto towarzyszył...

— Będziesz pan bardzo osamotniony, odpowiedziała Etela, — szczerze pragnę, żebyś znalazł towarzystwo.

— Doprawdy pragnie pani tego? — ciągnął dalej John Creedy: niedobrze mężczyźnie żyć samemu, potrzebuje towarzyszki. Ach, panno Etelo, czy mi wolno mieć nadzieję, że jeśli sobie na to zasłużę, to może zechcesz być moją.

Etela doznała przykrego zdziwienia. Creedy wydawał jej się bardzo grzeczny, bardzo uprzejmy; lubiła słuchać, gdy mówił; prosiła, by odwiedzał dom jej ciotki, ale na to nie była przygotowaną. Coś nieokreślonego w naszej krwi odpychało ją od tego. Ta propozycja odurzyła ją, odrzekła tylko:

— Ach, panie Creedy, jak pan mogłeś powiedzieć coś takiego.

John Creedy spostrzegł zachmurzenie się jej twarzyczki, mimowolne rozdęcie delikatnych nozdrzy, słabe drgnięcie w kącikach ust i szybkiem, instyktownem czytaniem z twarzy, właściwem murzynom, zrozumiał, co znaczy to wszystko.

— Panno Etelo, rzekł ze szczyptą naturalnej goryczy w tonie, — pani przynajmniej nie pogardzaj także nami. Nie będę się domagał odpowiedzi — ale, proszę, pomyśl nad tem; pomyśl i rozważ, czy możesz mię kiedy pokochać. Nie będę nalegał; nie będę obrażał pani natręctwem; ale chcę powiedzieć raz, jeden tylko raz — co czuję. Kocham panią i zawsze kochać będę, cokolwiek odpowiesz mi teraz; wiem, że zadałabyś sobie wielki przymus, wychodząc za mnie, daleko większy, niż gdybyś miała poślubić ostatniego, najlichszego z białych. Ale jeśli tylko zdołasz pokonać ten pierwszy wstręt, to ja będę mógł szczerze, rzetelnie przyrzec, że cię będę tak kochał, jak nie kochałem jeszcze żadnej kobiety. Nie odpowiadaj pani teraz, — dorzucił, widząc, że Etela znowu otwiera usta. Zaczekaj i zastanów się; rozważ to i módl się, a jeśli nie będziesz mogła czytać jasno w swej duszy, gdy od dziś za dwa tygodnie zapytam: tak czy nie? odpowiedz nie — daję ci słowo honoru, że w takim razie już nigdy nie wspomnę ci o tem. Ale obraz twój będę nosił wyryty w sercu do końca życia.

Etela odczuwała, że mówił to z głębi swej istoty.

Powróciwszy do domu, poprosiła ciotkę Emilję na górę, do swego pokoiku nad gankiem, ozdobionym różami dzikiemi i opowiedziała jej wszystko. Ciotka Emilja tak płakała, tak szlochała, że zdawało się, iż serce jej pęknie, ale od pierwszej chwili wiedziała, że jedna tylko odpowiedź jest możliwa: To karjera dla ciebie, moja najdroższa. Serce pęknie mi z żalu, ale to jest karjera. I chociaż czuła, że jej życie powlecze się kirem, gdy jej zbraknie Eteli, z całych sił pracowała nad tem, by ją nakłonić do poślubienia Johna Creedy i udania się do Afryki. Działała biedaczka zgodnie ze swemi wyobrażeniami.

Stryj James inaczej patrzył na tę rzecz. Instynkt odpycha ją od tego, — mówił z siłą przekonania. — a niedarmo mamy instynkta w sercach. Na to są nam dane, żeby kierowały nami, żeby nam przyświecały w tych ciemnych kwestjach. Biała dziewczyna nie powinna zaślubiać czarnego mężczyzny, nawet jeśli on jest proboszczem. To jest niezgodne z naturą. Instynkt nasz buntuje się przeciw temu. Biały mężczyzna może

się ożenić z czarną kobietą, jeśli mu się spodoba, nie widzę w tem nic złego, chociaż sam nie poślubiłbym murzynki za żadne skarby świata. Ale biała kobieta — żeby miała czarnego męża, krew burzy się na samą myśl o tem.... zwłaszcza jeśli się nie napróżno krążyło wzdłuż wybrzeża.

Dokończenie nastąpi.

Rozbiory i sprawozdania.

Poezje przez El...y. — Tom IV. — Kraków. — Nakładem Wydawnictwa »Nowej Reformy«. — 1894.

»Świat dzisiaj dla mnie jest pustynią ciemną.
»To, czem wprzód żyłem — ludzie mi wydarli,
»Przeszłość nie wróci, nie wstaną umarli
»Jestem już niczem — nie mam wracać po co!«

oto ostatnie słowa Kiejstuta w scenie V. piątego aktu w odpowiedzi na plan Wallenroda, który chce ojca wydobyć z lochów więziennych Jagiełły, aby znów stanął na czele walczących i bronił Litwy i Żmudzi od wrogów. A oto znów ustęp z I. aktu:

»Smutny los starca, co już czas swój przeżył
»I pokolenia, które go wydały.
»Gdy tracąc z oczu to, co czcił, w co wierzył
»Wśród nowych ludzi stoi skamieniały«.

Połóżmy zbyt pesymistyczne słowa Kiejstuta na karb sytuacji dramatycznej, zrozumiejmy podwójne stanowisko poety w społeczeństwie: jako członka Rządu Narodowego z roku 1863 i jako śpiewaka, ukazującego narodowi ideał piękna, dobra i prawdy, a musimy przyznać, że w osobie Kiejstuta dał Ely krytyce literackiej autocharakterystykę człowieka i poety. Gdybyśmy w literaturze mniejwięcej współczesnej chcieli znaleźć pokrewnego mu duchem pisarza, równie jak on »rybaką idei, zapatrzonego w głębie«*), to mutatis mutandis odkrylibyśmy go w osobie Roberta Hamerlinga, autora »Łabędziego śpiewu romantyki niemieckiej«. Asnyk wprawdzie niczego w tym rodzaju nie stworzył, nawet wprost zerwał w poezji z romantyzmem; porzuciwszy cuda i mistycyzm, wspierany wszechstronną i wyczerpującą znajomością nauk przyrodniczych stanął na gruncie ścisłych badań i filozofji pozytywnej — lecz w życiu... Poeta, którego młodość padła przed rokiem 63/64, kiedy to ideał, dźwignięty dłonią rewolucji francuskiej i Konstytucją 3. Maja nie rozchwiał się jeszcze w nic i w czcze dymy, który poił się niemal u źródła »pieśni czarnoksięstwem«, który oddychał czystszą atmosferą, niż w czasach dzisiejszej reakcji i zwierzęcego prawa pięści — ukochał ową epokę całą duszą i poniósł w sobie to uczucie przez życie i dziś jeszcze w zimnych i ciemnych lat dziesiątkach grzeje się w promieniach tego Znicza. A tak zespolili się w osobie Elego filozof-pozytywista i praktyk-romantyk, że zaś życie prawdziwych poetów jest ich pieśnią, a pieśń ich życiem, stoi Asnyk słupem granicznym między epoką dawną i nową i ma prawo o sobie powiedzieć:

*) Miriam. »Z czary młodości«.

(Lecz) z wolą bogów muszę trwać do końca
Jako ostatni przeszłości obrońca. (Kiejstut, akt I. scena IX.)

Tak pojmował poeta swoje stanowisko przed laty kilkunastu, kiedy tworzył wspaniałą tragedję. Rozdźwięk, wywołany zatargiem głowy i serca ukrywał w sobie poeta starannie, łamał się i męczył, a z tych ciężkich wieczorów »sam na sam z bólem«, z tych walk wewnętrznych ratowała go niezagłębiona, niewyczerpana nadzieja jasnego jutra i szczęścia ludzkości. Wtenczas do młodego pokolenia naszych poetów i szermierzy spraw narodowych i ogólnoludzkich mówił:

Trzeba wam miejsca ustąpić, o młodzi,
Co macie świeże oręże i hasła. (Kiejstut, akt IV.
i scena VI.)
Trzeba z żywymi naprzód iść!
. . . .
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia.

A dziś? Czy ta nadzieja jutra, czy ta ufność w świeże oręże i hasła utrzymała się w dawnej swej mocy? Filozoficzne utwory IV. tomu mówią: tak — ale jest ogromna różnica między tą wiarą obecną i dawną. Dzisiejsza wiara Elego w nowe zasady, w nowe prądy, gruntuje się już jedynie na przesłankach filozoficznych, na pojęciu świata jako szeregu zmian i przeobrażeń i rozum godzi się na nie: ale jest w tem przystaniu ból i gorycz, bo serce podniosło bunt straszny choć przytłumiany, bo żal mu dawnego kształtu, który musi paść w gruz, bo żal mu czarnoksięstwa pieśni i życia. Nie zamyka wprawdzie oczu na nędzę i głód wydziedziczonych (»Bez odpowiedzi«, »Na przełomie«), nawiedzają go wizje owiniętej w skrwawiony całun ludzkości, a wtedy

...potępieńców ściga go zgrzyt
I serce z bólu mu pęka — (»Przychodzisz do mnie...«)

Ale nie godzi się na hasła i oręże, którymi ci wydziedziczeni walczą. Ogarnia go zgroza, a może i trwoga przed temi iskrami, co kiedyniekiedy błyskają krwawo i mogą istotnie paść między prochy, którymi podminowana cała Europa. Ta myśl wnosi mu popłoch w duszę, a choć wie z historji, że gdzie jest zepsute powietrze tam albo żelazne ściany gmachu trzeba rozwalić albo dla dobra ogółu część obecnych poświęcić i usunąć — to jednak radby tego uniknąć, znaleźć inny punkt wyjścia — lecz tu właśnie siła ramienia zawodzi, a poeta staje bezradny, ze złamanem sercem. Stąd wielki smutek i ponurość całego IV. tomu i przygnębienie wielkie, gdy go jeszcze właśni bracia nie oszczędzili, każąc puhar goryczy do kropli wychylić. Ma tu poeta na myśli nową szkołę historyczną, naszych bluźnierców i siepaczy przemocy i gwałtu. Dał im poeta odprawę w rozpoczynającym cały tom wierszu »W 25. letnią rocznicę powstania 1863 roku«, napiętnował ich słusznie mianem samobójców, a ból tak dalece nim owładnął, że nawet dla młodego pokolenia ma tylko słowa dobrego i przebaczającego ojca, który prędzej przypuści, że wzrok mu nie dopisuje, niżby miał posądzić o złą wolę:

»Lecz chociaż droga nasza się rozchodzi,
»A chłód wasz lodem spada nam na serce —
»My błogosławimy wam rycerze młodzi,
»Narodowego długu spadkobierce«.

I nie tylko młodzież — Elego nie zadawala całe nasze społeczeństwo w dzisiejszej formie i nie bez piołunowej goryczy woła przy otwarciu nowego teatru w Krakowie: „Baw się narodzie!“ Nie znajduje też pochwały dla najnowszej poezji polskiej (»Sztuczne kwiaty«), która świetną barwą i kształtem chce pokr. ć brak »życia i poezji słodkich czarów«.

Spróbujmy jeszcze na podstawie leżącego przed nami tomu wyjaśnić sobie posępny nastrój pieśniarza, niestrudzonego dotąd siewcy nadziei i wiary w przyszłość szczęśliwą. Źródłem tego przygnębienia nie zdaje się nam być owo »rozłamanie życia w dwie wielkie połowy« jak mówi Słowacki — w jednę, w której patrzy się tylko w przyszłość i przed siebie i w drugą, w której żyje się snem wczoraj — ale zawinił tu po części ogólny prąd czasu, któremu najgenjalniejsze nawet umysły do pewnego stopnia podlegają, a po części i bodaj przedewszystkiem klęska w usiłowaniach rozwiązania zagadki bytu. W dotychczasowych swoich utworach przemawiał Ely tak, jakby wierzył w poznanie niepoznawalnego, w owoc dociekań i badań, w tryumf myśli ludzkiej. Dziś nie ma on pod tym względem żadnej ułudy; błądząc okiem w przestrzeniach planetarnych lub też zstępując duchem w głąb ziemi, dochodzi do praotomu i pramaterji (»Wobec sfinksa«) a dalej... dalej »zabrakło skrzydeł mej fantazji szczytnej“ — może powiedzieć razem z Dantem, gdy ten stawał przed Bogiem twarzą w twarz. I oto powtarza się w naszych oczach tragedja Goethego, Asnyk-Faust pada omdlały przed niepojętością makrokosmu, a zaklęciem przywołany Duch ziemi odpowiada mu:

Du gleichst dem Geist
Den du begreifst
Nicht mir —

którą to myśl znajdujemy również w I. zeszycie cyklu Elego

Próżno nad głębią schyleni — jej ciemnic
Obraz chwytamy — gdyż ruchliwa fala
Zamiast odwiecznych istnienia tajemnic
Własną twarz naszą ukazuje zdala
I nasz widnokrąg cały się powleka
Rzuconem w wszechświat odbiciem człowieka.

Lecz tu znowu ukazuje się oczom naszym dwoistość Asnyka; romantyk przyszedłszy do takich krańczyn poznania, odebrałby sobie życie — lecz pozytywista przechodzi od teorji do praktyki i licząc się z realnymi warunkami życia zastanawia się nad śmiercią i nieśmiertelnością, wiedzą i prawdą, etyką i dobrem, roztrząsa całą współczesną filozofję i stawia wreszcie ideał moralny narodowi i Ojczyźnie, której prorokuje:

»Taką, jak byłaś, nie wstaniesz z mogiły« lecz wspa-[nialsza
»Musisz do życia wkroczyć życia bramą,
„Musisz być inną! choć będziesz tą samą

Wdzięcznem byłoby zadaniem dla krytyka przejść kolejno wszystkię ustępy cyklu »Nad głębiami«, wykazać bieg myśli i ująć zawartą w nich filozofję w jeden system. Lecz taki rozbiór wymagałby obszernego studjum, na które nas na razie nie stać. Może na zakończenie chcielibyśmy w imieniu wydziedziczonych i młodych wytłómaczyć się z niejednego zarzutu — wolimy jednak pochylić czoło przed bólem i miłością i uwielbieniem odpłacić za ojcowskie, kochające serce. Dla tych wreszcie, którzy nie mieli dotąd IV. tomu w rękach, uzupełniamy notatkę, że wypełnia go pięcioaktowa tragedja »Kiejstut«, 30 sonetów »Nad głębiami«, »album pieśni« i »różne wiersze«, te zaś obejmują trzy przekłady, a między nimi bajeczne tłómaczenie »Chmury« Schelley'a.

Cyprjan.

Przegląd pism.

»Bibljoteka Warszawska«. — Marzec — 1894.

Marcowy zeszyt »Bibljoteki« rozpoczyna Studjum historyczne A. Darowskiego p. t. »Spory dyplomatyczne o samozwańców«, oparte niemal wyłącznie na źródłach historycznych rosyjskich i mające za przedmiot owe przewlekłe, ale równocześnie zażarte spory, stanowiące epilog burzliwej i barwnej epoki samozwańców, a biorące źródło w wypadkach, które zaostrzyły na długie czasy stosunki między Polską a Moskwą i pogorszyły je, jeśli wogóle po panowaniu Iwana Groźnego o pogorszeniu mowa być mogła.

P. Rembowski kończy w omawianym zeszycie swe pracowite studjum polityczne o izbach wyższych i arystokracji nowożytnej, oparte na przestarzałych teorjach politycznych o użyteczności izb wyższych i usługach arystokracji, która ma »torować masom ludu drogę postępu i rozwoju«. (?)

Artykuł p. Szymona Askenazego zawiera recenzję pism W. Spasowicza, w której tu i ówdzie spotykamy niejedną trafną uwagę krytyczną.

Dalszy ciąg obszernego elaboratu J. Blocha o przyszłej wojnie, w rozdz. XXI-ym, poświęcony opozycji przeciw militaryzmowi, sporo miejsca zajmuje w zeszycie »Bibljoteki«, zapowiadając znowu dalszy ciąg na przyszłość.

Znakomity popularyzator wiedzy przyrodniczej St. Kramsztyk daje nam w pięknym artykule p. t. »Ostatni z nieważników« wykład hipotezy eteru.

Dalszy ciąg »Rodziny Połanieckich« Sienkiewicza oraz zwykły dział kronikarski, bibljograficzny i recenzyjny wypełniają resztę zeszytu.

p.

Z RUCHU LITERACKIEGO.

Jellenta Cezary. Ideał wszechludzki w poezji spółczesnej. T. I. Kraków. 1894. Str. 322.

Jeż T. T. Edward Kloc, powieść. Warszawa 1894. Str 152.

Morawski Szczęsny. Po jantar (bursztyn). Wyprawa rzymska do ujścia Wisły z rozkazu cesarza Nerona. Napisał . . . Kraków 1894. Str. 339.

Podręcznik księgarski. Przewodnik praktyczny dla wydawców, księgarzy, pomocników i praktykantów księgarskich. Na podstawie swojskich i obcych źródeł opracowany pod redakcją Teodora Paprockiego. Warszawa 1894. Zeszyt I. Str. 160.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.